

E

EMBRION

CZASOPISMO LITERACKO-KULTURALNE

NR 2/2015

W numerze:

Niezwykłe ilustracje
Marcina Gamdzyka
dopelniające
stworzone do nich
teksty

A także
Noc
- malowana słowem





XII OGÓLNOPOLSKI TYDZIEŃ BIBLIOTEK

„Poezja w miejscach publicznych”

Spotkanie autorskie z poetą i dziennikarzem - Panem Markiem Barańskim,
poprowadzone przez Dawida Kraszewskiego
oraz występ Koła Naukowego Twórczości Literackiej „Ars Scripta”.



R

EDAKCJA



Bartosz
Lawrynkowicz



Monika
Sępień



Sabina
Kowalczyk



Karolina
Błażejczyk



Wojciech
Kobus



Alexander Nowakowski



Dr Paweł Pietrzyk

Ilustracje: Marcin Gamdzyk

Korekta Numeru: Sylwia Marek

Projekt logo: Małgorzata Rólka

SPIS TREŚCI:	
Marceli Łosiowski <i>Cudowna twarz Safadina Hishmi</i>	5
Alexander Nowakowski <i>(Zgrzyt, zapach, dech, zgasł...)</i>	8
Bartosz Ławrynkowicz <i>Przyjaciół grabarza</i> <i>Ucieczka</i>	9 14
Sabina Kowalczyk <i>Kiedyś</i> <i>Liść amarylisa</i> <i>Zły sen</i>	17 19 22
Wojciech Kobus <i>(Noc jest rodzaju żeńskiego...)</i> <i>(Ocierałem się o śmierć...)</i> <i>(Ludzie wulkany...)</i>	24 25 26
Karolina Błażejczyk <i>O przysłowiach słów kilka</i>	28
Monika Stępień <i>(Przykładam cmy do żyrandola...)</i> <i>(Nocą małe wåtpliwości ...)</i>	30 32
Dawid Kraszewski <i>Tadeusznik III</i>	33
LOKOWANIE PRODUKTU	36

Drodzy Czytelnicy!

Drugi z Embrionów niesie dla Was kilkadziesiąt stron widoków niezwykłych. Oprócz spotykanych na co dzień, tych tworzonych kolorem i kreską, przygotowaliśmy obrazy niecodzienne. Od litery do sylaby, od słowa do zdania, wykreowaliśmy za ich pomocą krajobrazy nowych światów, gdzie lasy szumią gąszczem szeptów a zima nadchodzi wraz z ostatnią postawioną kropką.

Oprócz tekstów dopełniających nieprzeciętną twórczość Marcina Gamdzyka, studenta Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, przez kolejne strony przenikać będzie literacka noc – noc niepokojąca, noc refleksyjna, noc inspirująca. To właśnie ona, niewyczerpalna, jest tematem drugiego numeru.

Zatem oddajcie się chwili i lekturze i sprawdźcie co niesie każda ze stron. Może to właśnie w tej literackiej nocy, rozpisanej ciemności, uda Wam się zobaczyć coś wyraźnie?

Monika Stępień

Cudowna twarz Safadina Hishmi

Safadin Hishmi wierzył, że osoba wprowadzającego jest niezwykle ważna. Uważał, że twarz pierwszego człowieka, którego zobaczysz po rytuale przejścia, jest w stanie zdeterminować całe twoje przyszłe życie. Wierzył w to do tego stopnia, że, tak przynajmniej słyszałem, żeby przeprowadzać innych, zabił swojego własnego syna – jedyną rodzinę, jaka mu została po zamieszkach dziesięć lat temu. Z czego żył, skoro, przynajmniej według mojej wiedzy, nikt nie płacił mu za inicjowanie innych – nie mam pojęcia. Myślę jednak, że to nie pieniądze pochłaniały jego myśli w chwili, kiedy prowadził mnie wąskimi drewnianymi korytarzami otwierając wciąż i zamykając kolejne drzwi. Co chwilę obracał się i patrzył na mnie szczęśliwy, próbując jednak równocześnie ukryć swoją radość – jak tego wymagała powaga chwili – i wszystko to wywoływało na jego okrągłej jak księżyc, porowatej twarzy wyraz lekko upośledzonego schizofrenika. Miał nieznacznego zęza oraz duży, wystający nos, poza tym był łysy, jeśli nie liczyć dwóch długich, rzadkich, spływających znad uszu jak wodorosty pasm siwiejących włosów. Taką więc twarz jako pierwszą, tuż po przejściu, widziały już setki nowych obywateli Sahimy, Miasta pod miastem, i myślę, że faktycznie miał ten widok pewien wpływ na ich przyszłe życie, zdaje mi się jednak, że nie dokładnie taki, o jaki Safadinowi chodziło. Tak czy inaczej, był on jedynym z – jak sam nazywał sobie podobnych – pośredników życia, którego znaleźć można było bez trudu, dlatego, zmuszony pośpiechem, udałem się właśnie do niego.

Zatrzymaliśmy się wreszcie przed drzwiami, które różniły się znacznie od wszystkich wcześniejszych – drewnianych i zniszczonych. Te były masywne, obramowane metalem i obite tkaniną. Safadin nakazał mi milczenie, po czym z wysiłkiem otworzył drzwi i weszliśmy do pustego, okrągłego pokoju ze wszech stron osłoniętego zwisającą z sufitu ciężką, purpurową zasłoną. Gdy usiedliśmy na środku, na miękkiej, również purpurowej, jednolitej macie, którą wyłożone było całe pomieszczenie, zauważyłem, że zasłony przysłoniły również drzwi, którymi weszliśmy – w pokoju, poza nami i wszechogarniającą czerwienią, nie było niczego innego.

Safadin obrócił się do mnie bokiem i, po chwili, wyciągnął zza pleców wysoką szklankę wypełnioną mętnym płynem oraz niewielką fiolkę z brązową zawartością.

– Wypij to duszkiem – powiedział i przysunął się do mnie, podając mi szklankę. Spojrzałem na jego, poważną teraz, twarz i zrobiłem co kazał, po czym rozkaszałem się głośno, a oczy wypełniły mi się łzami. Podsunął mi zaraz pod nos fiolkę i kazał oddychać głęboko – po kilku wdechach palące uczucie w przełyku minęło i zostało tylko dziwne, rozlewające się po ciele ciepło oraz lekkie zawroty głowy. Gdy zobaczył, że już się uspokoiłem, obrócił się ponownie, tym razem podając mi długą i wąską metalową rurkę oraz niewielką ceramiczną tackę, na której rozsypany był szarawy proszek. Otumanienie zniknęło momentalnie, gdy tylko zażyłem narkotyk – wzrok przestał mi się rozmazywać, głowa stała się lekka, jednocześnie też poczułem nagłą, szaloną kontrolę nad moim ciałem. Było to wrażenie nieporównywalne z czymkolwiek, co odczuwałem wcześniej – zdawało mi się, że gdybym chciał, to bez problemu mógłbym stanąć na jednej ręce, na jednym palcu czy na głowie, podskoczyć i zrobić potrójne salto, w sumie, że mógłbym zrobić cokolwiek zechcę, naginając i przekraczając granice możliwości mojego ciała. Wszystko to jednak było jedynie wrażeniem, gdy bowiem Safadin powiedział – Spójrz na mnie – nie byłem w stanie poruszyć głową, nie mogłem nawet podnieść wzroku.

– Patrz na mnie! – wykrzyknął i wtedy, nadludzkim wysiłkiem woli, co kontrastowało nieprzyzwoicie z moim wcześniejszym poczuciem absolutnej siły i co mnie w tym momencie ogromnie przeraziło, spojrzałem na jego twarz. Czujny, skupiony, patrzył na mnie i zdawał się nie być już tym samym człowiekiem, który mnie tu wcześniej przyprowadził. Zupełnie jakby nie istniało dla niego w tej chwili nic innego poza moją twarzą, poza moim wzrokiem, i nie wiem, czy spowodował to narkotyk, nie wiem, czy spowodowała to już bliskość Sahimy, czy może wreszcie spowodował to on sam – za pomocą jakiejś nieznanej mi, mitycznej siły – ale ta koncentracja, to skupienie przelało się w pewnym momencie na mnie i odwróciło. Teraz to ja – nie mam pojęcia, kiedy to się stało – patrzyłem na jego okrągłą, wyostrzoną nagle i ogromną twarz i nie mogłem oderwać od niej wzroku. Chyba zdał sobie z tego sprawę, bo odprężył się, pozwalając sobie na lekki uśmiech, ale nie obchodziło mnie to zupełnie – jedyną rzeczą ważną w tej chwili była zesłana mi przez boga, piękna niedościgła, dostojna i szydercza zarazem, cudowna twarz Safadina Hishmi.

Zdaje mi się, że siedziałem tak, patrząc, dosyć długo, choć jednocześnie czas jakby się zatrzymał, a ja trwałem nie czując swojego ciała, nie rozumiejąc i nie pragnąc niczego, poza objawionym mi obrazem doskonałości – tej doskonałości, której szukałem przez całe życie, która sprowadziła mnie do Sahimy i która zdawała się być jedynie mityczną ideą niedostępną ludzkości, marniejącej w swym zapatrzeniu na odbite na ścianach cienie prawdziwego świata.

Nagle Safadin klasnął w dłonie i w jednej chwili wszystko się zmieniło – w jednym krótkim momencie, zanim pojawiwszy się znikąd, ludzie Sahimy chwycili mnie i wynieśli do nowego życia, w tym więc przeblysku dostrzegłem obrzydliwą pospolitość tego człowieka, dostrzegłem zmęczone i obwisłe oblicze uzależnione od wielbiącego wzroku innych, wzroku, którego może nigdy nie doczekał się u swego syna, wzroku, który, nawet sztuczny, wywołany narkotykiem, doprowadził go do poderżnięcia gardła temu właśnie synowi tępym nożem do krojenia kinszaków.

Nawet teraz, gdy poznałem Sahimę i zostałem przez nią zmieniony, ciężko jest mi go ocenić. Tutaj noc staje się dniem, a żyjąc pośród ciągłej ciemności uczymy się dostrzegać światło właśnie w cieniach – to my jesteśmy prawdziwymi ludźmi, a przez własny wybór stajemy się prawdziwym narodem wybranym. Żyjące ponad nami, pod oślepiającym słońcem pustyni, marne dzieci dnia nie są niczym więcej jak spaczonym i wstrętnym odbiciem w odlanych przez nas samych lustrach. Tam wszystko jest drgającą niepewnością, ani wyuzdaniem, ani ascezą – nasz świat jest wyrazistszy, pełniejszy, pozbawiony ograniczeń, które oni sami na siebie nałożyli. Otworzywszy więc nareszcie oczy, dalej, mimo wszystko, nie poznałem całej prawdy o tym, co wydarzyło się w obitym czerwieniu pokoju. Nie wiem, czy rytuał przejścia był jedynie mistycznym, ale pozbawionym wartości symbolem, czy może zmienił mnie, pozwalając mi zrozumieć Sahimę, wiem natomiast, że, wiele lat później, gdy, podczas masowych egzekucji, w czasie czystki Miasta pod miastem, stałem naprzeciw skierowanej w moją stronę lufy karabinu, ostatnią rzeczą, o której pomyślałem na chwilę przed śmiercią, była okrągła jak księżyc twarz Safadina Hishmi.

Alexander Nowakowski

Zgrzyt, zapal, dech, zgasł –
nie ma już czarnej popielicy.
Zamiotłem kurz pod krzesło,
siedzimy więc wszyscy nijacy,
a tam się wieszają.

Przyjaciół grabarza

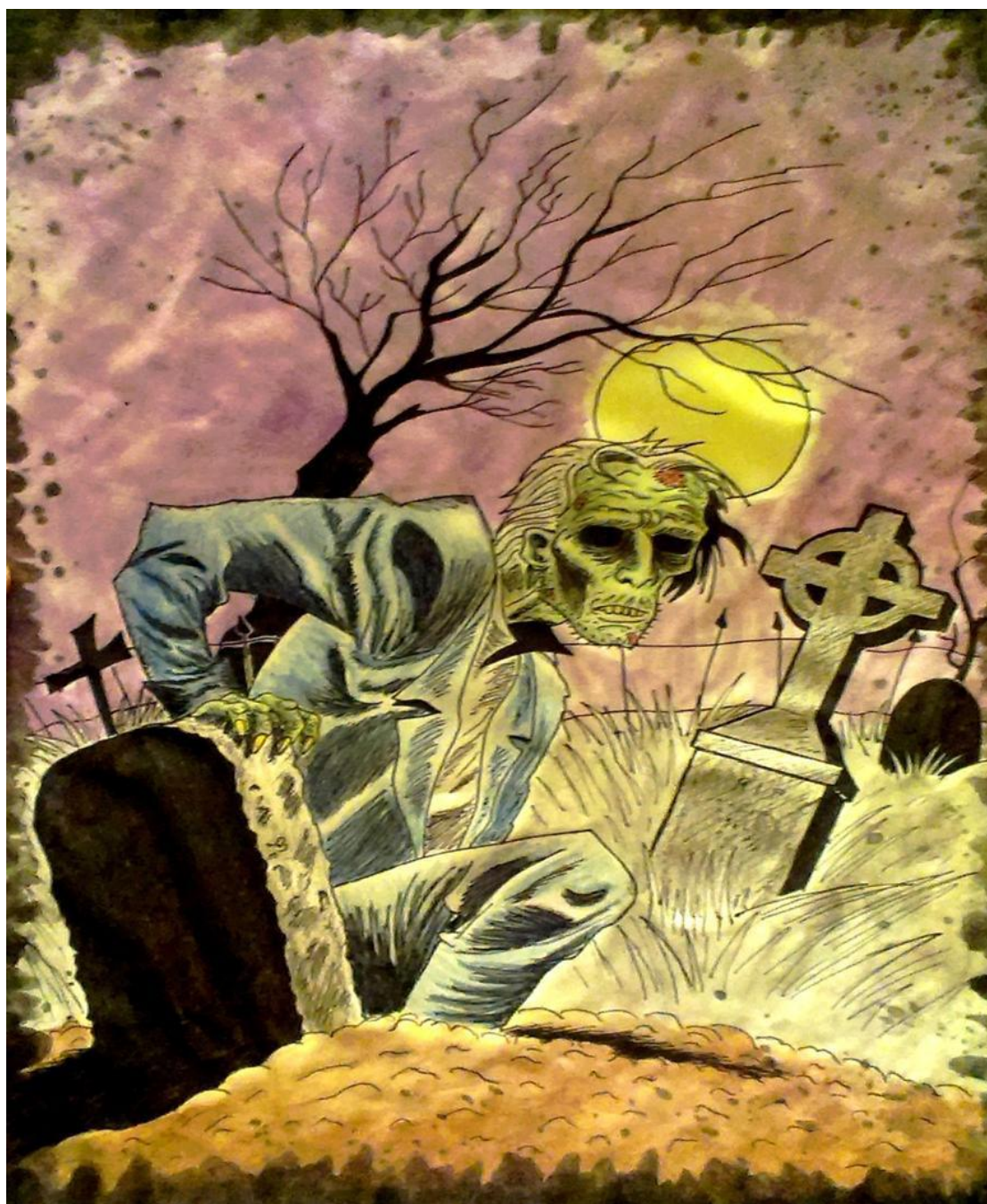
Wiktor był zniesmaczony podejściem swoich pracowników. Zatrudniał tych chłopaków dlatego, że ich rodzice byli jego dobrymi znajomymi. Samych młodzieńców znał, odkąd się urodzili. W głębi duszy wierzył, że to dobre chłopaki, ale gdy tylko nadarzyła się okazja do zabawy, o stawieniu się w pracy nie było mowy. Czasem chciał być bardziej stanowczy, niestety miał dla nich zbyt miękkie serce.

Tym razem puściły mu nerwy. W zakładzie czekało dwóch denatów, co oznaczało, że na cmentarzu, do rana, trzeba było wykopać dwa groby. Cała odpowiedzialność spadła na niego i to on, szef zakładu, musiał schylać się z łopatą w samym środku nekropolii. Był przecież kimś! Dzięki swojemu interesowi stał się całkiem zamożny, a jak wiemy, w tych czasach zamożny, równa się ważny.

Gdy tylko załatwił sprawy papierkowe i ustalił szczegóły pochówku z rodzinami zmarłych, udało mu się wyruszyć na cmentarz, niestety zaczynało się już ściemniać. Był wściekły. On, dobrze prosperujący biznesmen, musiał paradować z łopatą jak byle prostak! Niech no tylko dorwę w swoje ręce tę bandę nierobów! - myślał idąc w kierunku cmentarza. Główna brama była zamknięta, ponieważ od godziny dwudziestej panował absolutny zakaz przebywania w tym miejscu. Wiktor nie zamierzał się tym przejmować. Przecież go nie aresztują. Szybkim ruchem pociągnął skrzypiącą bramę, wyładowując na niej część swojej frustracji i z latarką w jednej, łopatą w drugiej dłoni, ruszył w kierunku miejsca wykopu.

Znajdowało się ono między dwoma względnie nowymi grobami, a w jego sąsiedztwie rósł wielki, stary dąb. Drzewo znajdujące się nieopodal mogiły zawsze zapowiadało problemy. Rodzina zmarłego, leżącego w takim miejscu, była skazana na bezustanne problemy z unoszonym przez korzenie pomnikiem, a co ważniejsze, przy kopaniu grobu trzeba było się o wiele bardziej napracować. Miejsce wykopu było już odpowiednio oznaczone, więc Wiktor położył latarkę na sąsiednim pomniku i wziął się do roboty. Praca była ciężka, ale zdenerwowanie wyzwalało w nim dodatkowe siły. Mężczyzna pracował najszybciej jak mógł, bezustannie przeklinając swoich pracowników.

Wokół robiło się coraz ciemniej, a światło latarki niewiele pomagało. Nagle, z ciemności dobiegł go dźwięk zbliżających się kroków. Ktoś nadchodził. Nie mógł to być żaden z jego pracowników, ta banda nierobów nie miała pojęcia, gdzie jest ich szef. Musiał to być jeden z tych świrów, którzy zwyczajnie lubią przechadzać się nocą po cmentarzu. Kiedyś o trzeciej w nocy widział człowieka, który z dziecięcym wiaderkiem i łopatką w dłoni, chodził od grobu do grobu świecąc latarką i dłubiąc w ziemi. Jak zawsze w takiej sytuacji dłonie mężczyzny, który od dwudziestu lat pracował jako grabarz, zaczęły nerwowo drżeć. Osoba, która po zmroku zapuściła się na cmentarz, zbliżała się w jego kierunku. Wiktor niepewnym ruchem sięgnął po latarkę. Snop światła przesunął się z wykopu i nagle zniknął, gdy latarka wypadła mężczyźnie z dłoni.



Tajemnicze kroki rozbrzmiewały coraz bliżej. Grabarz szybko schylił się po jedyne źródło światła, w głębi duszy licząc, że przechodzień nie zauważył ani jego, ani zamieszania jakie wywoływał. Oczywiście się mylił. Ciemna sylwetka zatrzymała się na krawędzi wykopu i zastygła w milczeniu. Gdy tylko Wiktor uniósł upuszczony przedmiot, usłyszał zachrypnięty głos.

– Przepraszam, co pan tu robi? – spytał grzecznie przybysz.

– Szukam węgla. Co się pan głupio pyta? – odpowiedział poirytowany grabarz.

– Ja tak tylko pytam. Wie pan, że nie można przebywać na cmentarzu po dwudziestej?

– Wiem! Jestem grabarzem! To mi daje, do cholery, jakieś prawa.

– Tak, tak! Oczywiście, tak tylko chciałem zagadnąć.

– A co pan tu robi po dwudziestej? – spytał grabarz.

– Ja nie mam co robić, więc pilnuję.

– Po co? Żeby nie puciekali? – absurdalna rozmowa coraz bardziej denerwowała Wiktora. Nie dość, że musiał pracować za swoich ludzi, to jeszcze jakiś natręt bezczelnie go przepytywał.

– Proszę poświecić na moją twarz – zaczął nagle przybysz.

– Po co?

– Proszę to zrobić.

Z lekkim ociąganiem, jak przystało na osobę, której działanie, nie daj Boże, mogłoby pomóc bliźniemu, grabarz uniósł latarkę i oświetlił twarz jegomościa ?

W tym momencie serce zaczęło walić mu jak oszalałe. Facjata mężczyzny była zielona. Skóra w niektórych miejscach popękała, a jego oczy były zamglone i nieobecne. Ten człowiek wydawał się być w pierwszym stadium rozkładu.

– Co się panu stało? – spytał zdumiony.

– Nic, nic. Tylko powróciłem do żywych. Pomóc Panu?

– Jak to powróciłeś do żywych?!

– To długa i smutna historia – stwierdził, po czym wskoczył do dołu i zabrał oniemiałemu grabarzowi łopatę.

– Pan niech odpocznie, teraz ja popracuję. – Wiktor odsunął się od zagadkowego przybysza i skrył w najciemniejszym kącie. Tajemniczy jegomość budził w nim przestrasz i odrazę wywołującą mdłości.

– Szanowny panie, proszę się nie bać. Ja tak tylko podszedłem. Chciałem pomóc, bo nudno mi tu samemu. Chciałem pogadać i popracować – stwierdził nieśmiało mężczyzna..

– To pracuj – ośmielony grabarz obrażonym gestem wskazał ściskaną przez przybysza łopatę, a sam wyszedł z dołu.

Chociaż jego gość był zachwycony możliwością wykonania czynności ciekawszej od siedzenia w kaplicy, to niezręczna cisza, która po chwili zapadła, dawała się już we znaki. Ku swojemu zdziwieniu, to właśnie Wiktor przerwał milczenie.

– Właściwie, to jak się nazywasz?

– Na imię mi Jacek, proszę pana.

– Jacku, czym się zajmujesz?

– Mieszkam tutaj, za dnia kryję się w kaplicy, a nocą pilnuję, by nikt nie przychodził – odrzekł ze smutkiem.

– Ty jesteś... żywym trupem? – spytał niepewnie Wiktor.

– Tak, kiedyś wydawało mi się, że nieśmiertelność będzie piękna.

– I co się stało?

– Okazała się nudna.

Słowa Jacka skwitowała jedynie cisza. Wiktor nie pytał o nic więcej, bo i tak niewiele z tego nie rozumiał. Gdyby nie szum drzew, można by usłyszeć burzliwe myśli kłębiące się w jego głowie. Tymczasem Jacek, przerzucając sterty ziemi, czuł radość w swym martwym sercu. Jej powodem było niemal już zapomniane szczęście przebywania z drugim człowiekiem. Chociaż na chwilę wyrwał się z samotności.

– Jeśli jesteś znudzony – zaczął ostrożnie Wiktor – to mógłbym dać ci pracę przy kopaniu dołów. Tylko zaznaczam, wiele nie zarobisz.

– Naprawdę?! Zechciałby Pan mnie zatrudnić? Bardzo chętnie! Pieniądzy nie potrzebuję, ale pracować bym chciał.

– No i bardzo się cieszę! Interesy z tobą to prawdziwa przyjemność!

– Skoro pan tak mówi, nie wypada się nie zgodzić – stwierdził uradowany Jacek.

Mimo tego że Wiktor nigdy już nie zrozumiał ani natury swego nowego pracownika, ani większości ich pierwszej rozmowy, to tamten wieczór wspominał zawsze z nieskrywaną radością. Upiekł wtedy dwie pieczenie na jednym ogniu. Po pierwsze, załatwił sobie darmowego pracownika. Po drugie, mógł sobie pozwolić na zwolnienie jednego z obecnych podwładnych, czym zastraszył całą resztę.

Ucieczka

Nogi zaczynały już go boleć, a pot zalewał mu czoło. Mimo tego biegł poprzez mrok nocy, starając się pokonać ciemną łąkę i pogrążyć się w bezpiecznym lesie. Musiał się spieszyć, przecież nie mógł pozwolić sobie nawet na chwilę słabości. Doskonale wiedział, że pościg już wyruszył i ludzie nie odpuszczą, dopóki go nie złapią. Biegł najszybciej jak mógł, dziurawy płaszcz powiewał na jego plecach, a stary, znaleziony gdzieś kapelusz ledwie trzymał się na głowie. Adrenalina wywołana strachem pulsowała w jego żyłach dając mu siły

– Jeszcze trochę! – pocieszał się. – Jeszcze chwila walki z własnymi ograniczeniami. Gdyby ten pościg miał miejsce wczoraj, byłoby mu o wiele łatwiej.

– Cholera jasna, od lat nie czułem się tak ludzko! – przemknęło mu przez głowę.

Cień samotnego drzewa, szelest nocnego zwierzęcia ukryty w krzakach, wszystkie te nocne duszki były jego sprzymierzeńcami. Wydawało się, że krzyczą, by biegł, a one zrobią co mogą, by zmylić pościg.

Wczorajsza noc była zupełnie inna. Siedział wygodnie na przydrożnej ławce i podziwiał przyrodę. Od zawsze uwielbiał wieś, to bogactwo roślin i zwierząt wokoło. Kochał to wycie brudnych mieszkańców przy budach, brzmiało ono niczym krzyk, że pamiętają czasy, gdy były wilkami. Tak! Ten krzyk szlacheckich bękartów podobał mu się najbardziej. Nie lubił nawet gdy właściciel, równie szlachetny co jego pies, wychodził na ganek i wrzeszczał na biednego kundla, który i tak nie mógł go zrozumieć. Tej nocy pies nie był uciszany. Mieszkańcy chaty mieli dziś zupełnie inne zmartwienia. Ich najdroższa córeczka chorowała, a oni czuwali przy niej na zmianę starając się ulżyć w cierpieniach swojej małej księżniczce.

Teraz musiał biec, wytrzymać jeszcze chwilę. Starł się uspokoić swój rozszalały oddech i nie panikować. Sprawa była poważna, jeśli wieśniacy go dopadną, jego byt zostanie przerwany! Jeszcze nie czas, miał jeszcze tulać się po świecie. Nie zamierzał tak szybko odchodzić! Nie chciał tak szybko odchodzić! Co najważniejsze, nie miał jeszcze wszystkich informacji! Doskonale słyszał złowróżbne odgłosy pościgu. Wieśniacy dawno zrezygnowali z jakichkolwiek prób subtelnego podejścia swojej dzisiejszej zwierzyny. Postanowili zrobić to w bardziej staroświecki sposób. Część wzięła widły, niektórzy siekiery, a kilku nawet zrobiło pochodnie, o jakich słyszeli w bajkach i wyszli z okrzykiem na ustach, licząc chyba, że uciekinier padnie na zawał, gdy ich zobaczy.

Wczorajszej nocy byli o wiele spokojniejsi. Zwłaszcza ten, który teraz biegł na czele tłumu, z furią wymachując siekierą. Wczoraj klęczał nad łóżkiem swojej małej córeczki. Nasz bohater pamiętał, jak mężczyzna heroicznie ukrywał łzy przed umęczonym wzrokiem chorego dziecka. Chociaż obserwator nie mógł tego usłyszeć przez grube ściany, to widział, gdy mężczyzna załamującym się głosem powtarzał "wszystko będzie dobrze". Mała, blada dziewczynka drżała na całym ciele i ze smutkiem patrzyła na rodziców, jakby prosząc o pomoc. Ich łzy przepraszająco powtarzały, że nie umieją nic zrobić. Prości wieśniacy, tak bezbronni w konfrontacji z losem. Jedynym co jej matka mogła zrobić, by choć trochę wesprzeć swoje chore dziecko, było złapanie jej za rękę.

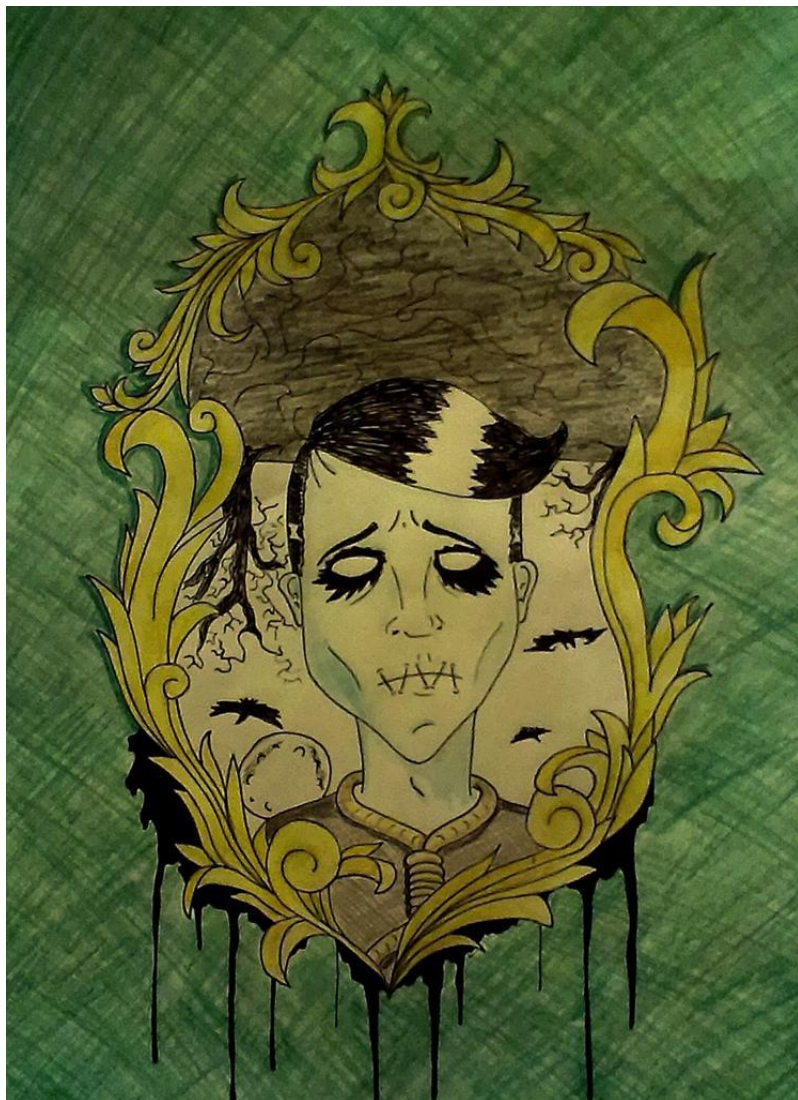
Teraz nasz bohater nie miał czasu na obserwowanie czegokolwiek. Musiał działać, by oddalić się od kolejnej wsi, której mieszkańcy chcieli się go pozbyć. Nigdy nie mógł zrozumieć absurdu, jaki krył się w wiedzy ludowej. Wieśniacy nie rozumieli go, choć doskonale znali jego naturę. Nie wiedzieli kim jest, lecz wiedzieli jak go zabić. Kolejna zielarka stwierdziła, że wszystko jest jego winą. Po co zagłębiać się w to, czym jest, skoro wiemy, jak go zabić? W ten sposób sprawa została zakończona, a wyrok wydany. Jedynie egzekucja nie była tak prosta. Noc jako naturalny sojusznik naszego bohatera, dawała mu schronienie. Chociaż wieśniacy wiedzieli, że porusza się tylko po zmroku i tylko wtedy da się go złapać, to praktyka nie okazała się już tak łatwa. Noc idealnie potrafiła ukryć swoje dziecko i w odróżnieniu od wieśniaków, była w stanie je ochronić.

Wczorajszej nocy ludzka matka nie była w stanie nic zrobić. Głowa rodziny, doskonały ojciec, też tego nie potrafił. Ich oczko w głowie, kochana córeczka, wyzionęła ducha na oczach rodziców. Odeszła spokojnie, życie zwyczajnie z niej wypłynęło pozostawiając ją śpiącą na wieki. Ból, jaki wykrzywił ich twarze, był wprost upiorny. Przez chwilę wyglądało jakby to oni sami właściwie umarli. Dopiero po chwili rozległ się szloch i krzyki bólu wywołanego stratą ich największej miłości. Podczas gdy oczy matki nadal wyrażały cierpienie, w oczach ojca zaczął płonąć ogień zemsty. Jego spojrzenie spotkało się z nieludzkim wzrokiem naszego bohatera. Tamta chwila była zdumiewająca. Śmiertelnik miał czelność rzucić mu wyzwanie! Nie mógł sobie pozwolić na konfrontację z człowiekiem i musiał uciekać. Właśnie wtedy zaczęła się ta szaleńcza gonitwa.

Jeśli uda mu się dotrzeć do lasu, będzie bezpieczny. Ukryje się tam i po raz kolejny uda mu się wymknąć pogoni. Gdy zraniony ojciec zauważył go za oknem i wziął go za upiora, chłopak był pewien, że wypadki dzisiejszej nocy potoczą się właśnie w ten sposób.

Nie przewidział jedynie, że wieśniacy osaczą go już chwilę po zmroku, gdy dopiero się zmaterializował. Miał szczęście, że udało mu się wymknąć. Teraz wreszcie wbiegł do lasu. Ciemność okryła go z każdej strony. Poczul się bezpieczny i wreszcie mógł się trochę zrelaksować. Wyjął z kieszeni skręconego papierosa i wsadził do ust. Odpalił i zaciągnął się dymem, który przyjemnie wypełnił mu płuca. Ruszył powolnym krokiem, zręcznie omijając niewidoczne drzewa. Czasem, gdy delikatna poświata papierosowego żaru padała na blisko znajdujące się rzeczy, nasz bohater cokolwiek widział. Przemierzał las w ciemności, żył tak od lat i nie potrzebował światła. Delektował się ciszą i spokojem tego miejsca. Jedynie szum drzew kołysanych wiatrem zakłócał ciszę. Serce naszego bohatera się uspokoiło i wreszcie mógł odpocząć. Przysiadł pod jednym z drzew. Oparł się o pień i zapatrzył w pustkę. Wtedy usłyszał trzask pękającej gałęzi i przekleństwo. Niestety było już za późno. Siatka opadła mu na głowę, a kilku mężczyzn zaczęło go wiązać. To już koniec. Papieros wypadł mu z ust. Żywi ludzie go dopadli. Zginie, bo uznali go za śmierć, podczas gdy on był jedynie jej badaczem.

Kiedyś...



Kochany Tato!

Muszę Ci coś wyznać. Tym razem nie zwałem z lekcji ani nie zawałem biologii. Stało się coś gorszego. I pewnie będziesz mną strasznie rozczarowany. Nikomu o tym nie mówiłem, chociaż w zasadzie wie o tym cała szkoła.

Chciałbym być taki jak Ty – odważny, silny, pewny siebie. Ty na pewno nie byłbyś taki żalorny jak ja.

Za Tobą z pewnością nikt nie wołał: „Ciota! Dupek! Wymoczek! Jesteś jak baba! Synek mamusi!”. Dziewczyny pewnie nie

patrzyły na Ciebie z politowaniem, a chłopaki nie okładali czym popadnie w męskiej toalecie.

Nie mam z kim rozmawiać na przerwach.

Gdy wychodzę wieczorem, to nie dlatego, że chcę się spotkać z kumplami, ale by poszpendać się trochę po wiosce i udawać przed Wami, że mam jakichś przyjaciół. Imiona, które Wam podawałem jako te, należące do moich kolegów, są mi wstrętniejsze od innych. To właśnie imiona moich oprawców.

Lubię sobie wyobrażać, że jestem wielkim bohaterem, że jestem Tobą. Ale co z tego, skoro buda szybko sprowadza mnie na ziemię. Zawsze mówiłeś, że mężczyzna powinien być twardy, umieć się bronić. Próbowałem. Ale oni tylko się śmiali i potłukli mnie jeszcze

bardziej. Do tej pory udawało mi się Was przekonać, że te siniaki są od gry w piłkę lub od licznych bójek, które niby wszczynam. Ale dłużej już tak nie pociągnę.

Wychowawczyni stwierdziła, że musi z Wami porozmawiać. Teraz codziennie boję się, że nagle pojawi się w naszym progu i powie Wam, jakiego żalosego macie syna.

Co zrobię z tym listem? Sam nie wiem... Pewnie wyrzucę do kosza, jak wiele innych. I będę w nieskończoność czekać na pomoc. Prawdziwa ofiara losu.

Mam wrażenie, że świat wywrócił mi się do góry nogami. Kiedyś spojrzałem w lustro i zrozumiałem, że chyba nigdy nie będę prawdziwym mężczyzną. Jestem blady jak ściana, chudy, moje oczy nie wyrażają zupełnie nic, żadnego charakteru. Ta grzywka rzeczywiście jest pedalska, w szkole mają rację. Może ogolę się na łyso?

Miałem już takie myśli, że...

Nie, nie odważę się. Chociaż wokół mnie jest tak ciemno i zimno.

Kiedyś pękniemy. Lustro i ja. Kiedyś...

Liść amarylisa

Wnętrze kościoła kryło się w półmroku. W powietrzu unosiła się woń palonego niedawno kadzidła. Nieliczne rozproszone lampki i świece mrugały jak oczy rozespanego zwierzęcia. Wszystko pokryte kurzem i watą ciszy. Tę ostatnią przerywały urywane szepty („witaj, kopę lat”, „ile dał ci pokuty?”, „kolejka jak za komuny”, „co miałeś dziś na obiad?”, „nogi mnie bolą od tego stania”, „ile masz grzechów, bo ja tylko trzy – myślisz, że wystarczy?”), pokasywania i westchnięcia z głębi piersi, niesione echem zimnych ścian ku wysokiemu sklepieniu.

Kolejka przy konfesjonale przesunęła się. Dudnienie kroków, znak krzyża, ewentualnie pospiesznie zmówiona modlitwa. Puk, puk, puk, znak krzyża, kroki, modlitwa. Puk, puk, puk, znak krzyża, kroki, modlitwa. Monotonne tykanie kościelnego zegara.

Jeszcze tylko trzy osoby i spowiednik będzie miał wolne. Nie, jednak cztery. Do kościoła ciężkim krokiem wszedł z opuszczoną głową łysawy mężczyzna. Zdjął pospiesznie czapkę i ustawił się na końcu kolejki. Bładoniebieskimi oczami błędził po rozedrganych płomykach świec, tajemniczych cieniach kryjących się w nawach, wielkim krzyżu zawieszonym nad ołtarzem, barwnych wstęgach ozdabiających sufit i witrażach. Nagle przeraźliwie westchnął. Tak, jakby coś rozdzierało go od środka.

Starsza pani stojąca przed nim w kolejce odwróciła się z oburzeniem i, potrząsając piórkami wrzosowego szala, syknęła rozwścieczona.

– Ludzie to naprawdę nie potrafią się zachować! I to w kościele! – dodała zgorszona.

Mężczyzna „nie potrafiący się zachować” nie wykrzesał z siebie żadnej reakcji. Wciąż milczał, więc dama dała mu spokój. Mruknęła jeszcze tylko pod nosem, ale tak, by ją słyszano, dając upust swej złości: „Dziwak!” i z zadowoleniem odwróciła się w stronę konfesjonau.

Puk, puk, puk. Puk, puk, puk. Puk, puk, puk. Ostatni w kolejce wszedł do konfesjonau.

– Proszę księdza, dzieje się ze mną coś niedobrego! – mężczyzna załkał w drewnianą kratę.

– Niech będzie... – zaintonował po drugiej stronie znudzony głos.

– Tak, tak, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – wymamrotał w odpowiedzi. – Proszę księdza, ja jestem chyba wielkim grzesznikiem. Nie mogę jeść ani pić, a wszystko przez te sny! Pojawiają się nagle. Najpierw wydaje mi się...

– Na wieki wieków amen. Kiedy ostatni raz byłeś u spowiedzi, synu?

– Wydaje mi się, że zapadałem w jakąś otchłań i słyszę głosy. Nie wiem... już jakiś czas temu. Po tych głosach pojawia się ten sen. Ale przed tym wszystkim zapada noc. Przez to straszliwie boję się nocy!

– Ale kiedy dokładnie? – naciskał spowiednik.

– Dwa miesiące temu – skłamał na poczekaniu mężczyzna.

– Dawno – stwierdził ksiądz.

– Miałem wiele ważnych spraw. Ale nie to jest istotne. Ta noc. To ona jest wszystkiemu winna. Czuję ją już w ciągu dnia. Wciąż drzę, gdy sobie przypomnę. Ale sen – plótno nieprzytomnie, wyrzucając z siebie słowa najszybciej jak mógł. – Śni mi się mój pokój. Wszystko jest w nim jak dawniej. Prawie wszystko. Bo tuż przed zaśnięciem niewinnie zakołysze się bujany fotel, żona narzeka, że czuje jakiś ciężar na nogach, komputer cicho pomrukuje, jakby miał się zaraz włączyć, delikatnie porusza się liść amarylisa, skrzypi podłoga... Ja wiem! To wszystko brzmi jak w jakimś horrorze! Ale nie dźwięki i ruchy są najgorsze. Gdy zamykam oczy... Czuję, że wtedy zaczyna się prawdziwa noc. Nie ta kojąca muzyką świerszczy i blaskiem księżyca, ale najczarniejsza, pusta, rozpaczliwa ciemność. Otwierają się drzwi do innego świata. I wtedy... – głos mężczyzny przeszedł do szeptu – zaczyna się sen.

– Czy odmówiłeś pokutę? – zza krat dobiegło wyraźne ziewnięcie.

Zignorował to pytanie.

– Jestem w pokoju, w moim pokoju, ale widzę znacznie więcej. To chyba duchy... I już wiem, że na nogach mojej żony siedzi złośliwy chłopiec, komputer włączany jest przez przyszczonego nastolatka, podłoga skrzypi od kroków kobiety tulącej w ramionach dziecko, a dziadek bawi się liśćmi egzotycznego kwiatu... Wszyscy zastygli w swoich czynnościach, jakby nie potrafili robić nic innego. I wtedy słyszą skrzypienie drzwi. To wchodzi ja. Wszyscy powoli odwracają się w moją stronę. A ja nie chcę patrzeć im w oczy! Nie chcę! Nie chcę! Proszę księdza, o co w tym wszystkim chodzi? Czy mój dom jest nawiedzony?

Albo może to ja jestem opętany? Zwariowałem? Czuję, że znów się zbliża... Ta noc... Co mam zrobić?

– Jako rozgrzeszenie proszę odmówić raz „Ojcze nasz..” i dziesięć razy „Zdrowaś Maryjo”.

– Czy ksiądz mnie w ogóle słucha? Duchy! Wciąż mnie prześladują! Nie mogę jeść! Boję się spać! Nienawidzę pieprzonej nocy!

– Synu, nieładnie jest przeklinać w Domu Pana – upomniął go spokojnie duchowny. – Niech pan wróci do domu, zje kolację i nie zawraca mi więcej głowy. Ja też jestem strasznie głodny i zmęczony.

– Nie pomoże mi ksiądz?

– Proszę pana... A co ja mogę? Pomodłę się za pana. Jestem tylko człowiekiem.

– Tylko człowiekiem... – powtórzył bezwolnie mężczyzna.

W napiętej ciszy kościoła rozbrzmiało zawstydzone, słabe, puste: „puk puk, puk”. Mężczyzna powoli podniósł się z klęczek. Rozejrzał się wokół zdumiony i odwrócił się w stronę wyjścia. Jeszcze przez chwilę lampki i świece wyłuskiwały z mroku jego plecy, po czym zgarbioną postać pochłonęła kolejna noc.

Sabina Kowalczyk

Zły sen

stałam sama
przy oknie
tak jesiennie
samotnie
serce rwał
bezimienny niepokój

co tam drży?
w cieniu drzew
ni to płacz
ni to śmiech słyszę
coś czai się

muszę biec
ile sił
wciąż bez tchu
mięśnie drżą
w biegu ronię
krople potu

i dogania mnie
strach
pluje
w twarz

Ach! To sen!
krzyczę jak opętana.

kilka łyków powietrza...

kojona przytomnością
mogę przybić do portu
półsennego komfortu
i spróbować raz jeszcze
kołysanką na wietrze
stulić drżące powieki

i tak przez całe życie
błądząc w tym senno-bycie

aż nie zgasnę
uśpiona
na wieki.

Wojciech Kobus

Noc jest rodzaju żeńskiego.
Budzi latarnie
na czarną godzinę schowane.

Ścierają się światła
w popiół.
Ściemniają w tunelach,
kiedy oczy już stygną.
Włoką się przez góry.

Niech zejdą na ziemię.
Noc przychyli nieba.

Ocierałem się o śmierć.
Tarłem,
drapałem i wciąż swędzi,
jakby podświadomość była nad.

Czas jest ciecżą,
kapie z czoła,
leci przez palce,

ścieka

i
koniec końców
wrażenie staje się bezbarwne.

Swędzenie przeszło
ludzkie pojęcie.

ludzie wulkany
drzemiące
zatopieni w śnie

ze świecą szukać
tych
czynnych

ci którzy wybuchli
zawiesili głos

krzepną na płótnach

za tę pustkę
wieszam na nich oko
wieszam na nich psy



O przysłowiach słów kilka

Przysłowia atakują nas z różnych stron. Każdą sytuację można podsumować znanym od pokoleń zwrotem. Popularność ta powoduje, że czasem przychodzą na myśl inne znaczenia przysłów, niekoniecznie funkcjonujące w powszechnym użyciu.

Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz – albo wyśpi się ktoś inny. Swoją drogą, dlaczego nie miałbyś się wyspać na niepościelonym?

Gdyby kózka nie skakała, to by nóżki nie złamała – jakby nie można było złamać nogi, po prostu idąc...

Albo rybki, albo akwarium – co za wspaniały wybór! Wyrazy uznania dla osoby, która wybierze rybki.

Nie dla nas kwitnie ananas – nie sadziłeś, to i nie kwitnie, ot i cała filozofia.

Kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada – nie wiadomo, czy faktycznie można wpaść do wykopanego przez siebie dołu, pewne jest jedynie to, że osoba taka posiada łopatę.

Kombinuje jak koń pod górę – widząc wzniesienie, koń raczej po prostu idzie dalej bez jakiegokolwiek kombinowania, ale kto go tam wie...

Kto w błoto wpadnie, ten suchy nie wstanie – żelazna logika ludu, z którą nie ma powodu walczyć.

Łaska pańska na pstrym koniu jeździ – właściwie to czemu na pstrym? To ma ją czynić bardziej widoczną?

Nie pomoże puder, róż, kiedy gęba stara już – jak powszechnie wiadomo, młodość nie wieczność, chociaż nie każdy chyba chce/może się z tym pogodzić.

Jak widać na powyższych przykładach, z każdego przysłowia można się pośmiać. Czasem nawet nie trzeba wnikać w jego znaczenie. Uwydatnia się ciekawa właściwość tych powiedzeń – dowolność rozumienia ich sensu. Niczym symbol, zawierają one w sobie wiele możliwości interpretacji.

W końcu nie każdy chłop z widłami to Posejdon.



Monika Stępień

Przykładam ćmy do żyrandola.

Zaćmienie.

Zaciągam pajęczyn firanę w molach.

Nie-na-widzenie.

Nocą definiuję bezbronność.

Próbuję powiedzieć, że nie potrafię do Ciebie mówić. Tego się nie da

wysłuchać. Szukając słów pomiędzy przełykaniem śliny

a opuszczeniem ramion. Rezygnuję.

Rozlewam wydech na szybie.

Zmiękczenie.

Chowam zmartwienie w zmarszczce.

Nie-doskonale-nie.



Don't waste your time,
I won't feel anything
if you say that to me
I thought too much
I won't find a thing
worthily of receiving

he stands apart
never with I myself
break down and
now what once was
and you may take
my heart away

I left it all behind
and never said goodbye
I left it all to you

I saw the birth I wanted
it you I felt it hang
me I found the life
I ate it slow
I saw it coming
me

and you may
take my
heart away

Nocą małe wątpliwości budzą większe skojarzenia, a ja chowam się przed nimi
w zaciśniętej dłoni. Tysiąc kropel
szepcze na parapecie - *Jesteśmy tylko*
instrumentalizacją węgla. Echo odbija się od ścian. Wdech.
Czuję presję, aby w coś uwierzyć i doprowadza mnie to do paranoi.

Teraz chcę tylko być pomiętą fotografią,
oglądaną z dłoni drżeniem.
Tym niemiłym i nie chcianym,
regularnym kluciem z żeber.

Nocą większe skojarzenia budzą małe wątpliwości, a ja chowam się przed nimi
pomiędzy mrugnięciami. Zostawiam przerażenie
po drugiej stronie łóżka. – *Co z przestrzenią, która pozostała*
pomiędzy skórą a żyłą? Oddech porządkuje chaos. W cząsteczki.
Powietrze jest na moment miejscem objawienia tchnienia.

Teraz chcę tylko być pomiętą fotografią,
oglądaną z dłoni drżeniem.
Tym niemiłym i nie chcianym,
regularnym kluciem z żeber.

Dawid Kraszewski

Tadeusznik III

Kiedy szliśmy na Stare Miasto
spotkałem Herberta
w barze „Faster” około północy
w zajądanym kebabie z ciągnącym się serem
jak muzyka disco polo
z posiekanymi warzywami
w stylu techno
w Twojej czarniawej listonoszce
przewieszonej przez ramię
kiedy wracaliśmy do Hotelu
Warmińskiego Herberta nie było
w labiryntach ulic w tych konstelacjach
gdzie przedziwnie gubiłem krok
za krokiem orientację
w jego i Twojej poezji i w tym
skąd dokąd i którądy do hotelu

Spotkałem u Ciebie Różewicza
podczas rozmów o wszystkim i o niczym
ważnym z punktu widzenia wieczorku poety-

ckiego i potem gdy Twój okular błyskał w świetle
twoich oczu brylujących pośród innych
oczu rozniecanych pytaniami o post-
modernizm o noc czy piszesz
raczej dniem czy nocą czy Bóg
nie umarł o wiersz współczesny

Spotkałem u Ciebie Dąbrowskiego
wtedy w pierogarni przelałem herbatę
gdy spostrzegłem że nosi te same okulary
co nieopierzony student filologii polskiej

Zapraszamy na spotkania Koła Naukowego Twórczości Literackiej „Ars Scripta” oraz do współpracy z czasopismem „Embrion” – teksty i ewentualne pytania prosimy wysyłać na adres e-mail:

ars.scripta1@gmail.com

*

*

*

Butki WITKIEWICZÓWKI



Teraz w nowej,
CZYSZTEJ FORMIE
POLECAMY RÓWNIEŻ: Bagietki Baudelaire'a
i Pierniczki Przybyszewskiego